

BIBLIOTECZKA GEOGRAFICZNA  
OPISY MALOWNICZE I PODRÓŻE

TOMIK I. ════════════════════ TOMIK I.

786

Sergjusz Miecz

\*

# Azja Środkowa



NAKLADEM I DRUKIEM M. ARCTA  
WARSZAWA ════════════════════ 1907



S. MIECZ.

---

AZJA ŚRODKOWA.



OPISY MALOWNICZE ZIEMI

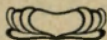
I

SERGJUSZ MIECZ

# Azja Środkowa

z wydania siódmego z upoważnienia autora przetłumaczył

ADAM KUDELSKI



CBGIOŚ, ul. Twarda 51/55

tel. 22 69-78-773



Wa5150323

WARSZAWA

NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA

1906

<http://rcin.org.pl>



786

<http://rcin.org.pl>

NH-42588/19

## OD TŁUMACZA

Dobra książka geograficzno-opisowa jest przy wykładzie geografji pomocą nader pożądaną.

W naszej literaturze pedagogicznej książek podobnych nie mamy prawie zupełnie.

Ten brak skłonił mnie do podjęcia przekładu szeregu książek S. Miecza, które, odznaczając się nader barwnym i żywym językiem, budzą w czytelniku istotne zainteresowanie.

Wybierając na początek dla przekładu «Azję Środkową», kierowałem się temi samemi względami, o których mówi w swej przedmowie Szanowny Autor.

Tu pozwolę sobie zamieścić odpis listu, którym Autor łaskawie upoważnił mnie do spolszczenia prac jego.

*Szanowny Panie*

Bardzo rad będę, jeżeli książki moje przyniosą pożytek społeczeństwu i narodowi polskiemu. Z przyjemnością też upoważniam Pana do przełożenia ich na Pański język ojczysty.

Oddany Panu

*Sergjusz Miecz.*

## W S T Ę P.

Wydaje mi się, że w ogólnym kursie geografji należy się Azji Środkowej miejsce pierwszorzędne; ta część bowiem lądu azjatyckiego jak najżywiej pobudza myśl ludzką do pracy. Wpływ gór na klimat, znaczenie istotnej wysokości danej miejscowości, zależność między fizycznymi warunkami przyrody i ludnością — wszystko to z taką wyrazistością i siłą występuje w Azji Środkowej, jak bodaj w żadnej innej miejscowości. Jeżeli dodamy do tego, że Azja Środkowa stanowi niejako pień danego lądu, stanowi jego część najbardziej istotną i typową, część — warunkującą ukształtowanie pionowe, klimat, a co zatym idzie i rozwój historyczny całej części świata, to stanie się wtedy zrozumiałym, dlaczego właśnie tym krajem zająłem się w niniejszym zarysie, przeznaczonym dla tych, co stawiają pierwsze kroki na polu geografji. Muszę zresztą zauważyć, że korzystający z niniejszego zarysu winien jednocześnie posiłkować się mapą dokładną i innymi pomocniczymi środkami poglądowymi.



I.

Pod nazwą Azji Środkowej pojmujemy obecnie rozległą wyżynę, obejmującą 120,000 mil kwadr. i zniżającą się na południu ku Indostanowi i Indochinom; na wschodzie ku Chinom i Mandżurji; na północy ku Syberji, a wreszcie na zachodzie ku Turanowi Rosyjskiemu. Kraina ta, wszędzie oddalona od morza, posiada na krańcach swych znaczne wyniosłości pod postacią wysokich łańcuchów górskich i dzięki temu tworzy świat zupełnie odrębny, odosobniony i mało zbadany. Z południa ogranicza ją łańcuch Himalajów, których szczyty sięgają najznaczniejszej na ziemi znanej wysokości (Gaurisankar albo Mount Everest przenosi 8,800 m.). Śniegami Himalajów zasycane są źródła Indu, Gangesu i Bramaputry. Dalej ograniczona jest Azja Środkowa łańcuchami gór Indochińskimi, pomiędzy którymi po dzikich i mało dostępnych dolinach płyną rzeki Kambodża i Saluen.

Na wschodzie, kraina, zniżając się stopniowo, przechodzi w góry Chińskie, przez które torują sobie drogę ku morzu Hoang-ho i Jang-tse-Kiang. Od Mandżurji oddziela ją łańcuch Chinganu, a od mroźnej Syberji — góry Nerczyńskie, zasilające wodą źródła Amuru, Sajańskie, skąd Jenisej czerpie swe siły żywotne; wreszcie góry Ałtajskie, wysyłające Ob i Irtysz na północ ku oceanowi.

Od Turanu rosyjskiego odgradza Azję Środkową Thian-Szan, gdzie powstaje Syr-Darja i wyniosła wyżyna Pamiru; z niej w raptownym spadku spływa Amu-Darja (Oxus starożytnych).

Z powyższego już widać, że wszystkie znaczniejsze rzeki azjatyckie biorą początek z górzystych krańców Azji Środkowej. Jest to całkiem zrozumiałe: kraina ta bowiem odgrywa rolę potężnego kierownika ruchami atmosfery. Pustynie i stepy Azji Środkowej, rozpalone promieniami słońca, ogrzewają najbliższą warstwę powietrza; staje się ona więc lżejszą i dlatego unosi się ku górze, a na jej miejsce płynie powietrze z północy, południa, wschodu i zachodu. Wtedy zimne grzbiety gór krańcowych zabierają parę wodną, którą z ponad trzech oceanów przynosi powietrze, a także zatrzymują przypędzone chmury. Oto dlaczego obfite deszcze zraszają zewnętrzne stoki tych pasm górskich, podczas gdy Azję Środkową zabija nadzwyczajna susza.

Po nad nią rozpostarte jest czyste niebo, którego ciemnego błękitu nigdy nie zamąci chmura; jej główny krajobraz stanowi pustynia, którą zrzadka tylko, tu i owdzie, zastępują stepy. Typowym jej zwierzęciem jest antylopa, wielbłąd i koń dziki; a pierwotny pasterz — to jej mieszkańiec charakterystyczny. Rósł on i krzepł w walce z surową przyrodą, a kiedy czasem porzucił pustynię swoją i swe stepy, by szczęścia gdzieindziej poszukać, wtedy wszystko musiało przed nim ustępować z drogi.

Chińczycy i Indusi, słonecznym ciepłem wydolikaceni, nie mogli stawić skutecznego oporu wobec tych szczęściem nie popsutych ludzi. Nawet Europa odległa doświadczyła na sobie ich energji i siły niepomahowanej, kiedy to, zda się, była zagrożona utratą na zawsze swej rodzącej się cywilizacji.

Łańcuch gór Kuen-Lun dzieli Azję Środkową na dwie niejednakowe części: Tybet i pustynię Gobi (Szamo). Z nich Tybet położony jest znacznie wyżej nad poziomem morza; nie znamy go prawie zupełnie, a straszne opowiadania podróżników dają nam o nim słabe jedynie pojęcie. Niżej od Tybetu położona pustynia Gobi rozciągnięta jest pasem 4000 wiorst długim przez całą Azję środkową; zachodnia część Gobi, zawarta pomiędzy Thian Szanem i Kuen-Lunem, nosi nazwę Turanu Chińskiego; część zaś wschodnia, pomiędzy górami Chin i Syberji, nazywa się Mongolją.

Zarówno Tybet, jak i Gobi mają wybitnie charakter pustyni; ogromna jednak różnica w wysokości ich nad poziomem oceanu, spowodowała w tych krajach cechy tak odmienne, że każdy z nich występuje przed nami jako świat zupełnie odrębny.

## II.

Nazwa «Tybet» nieznana jest miejscowym mieszkańcom i dzisiaj pochodzenie jej nie da się wyjaśnić. Ludność tuziemna zwie ojczyznę swoją Bod-juł; Chińczycy nazywają ją Si-tsang,

w języku zaś Mongołów nosi nazwę kraju Tangutów. Rozległością Tybet trzykrotnie przewyższa Francję, przyczym naturalne granice jego są tak wyraźne i pewne, jak mało której z krain azjatyckich. W zachodniej części Tybetu znajdujemy kolosy górskie, ubielone śniegiem i rozerwane górnym biegiem Indu; dalej na wschód, gdzie Tybet ograniczają dwa najznacześniejsze w Azji łańcuchy gór: Himalaje i Kuen-Lun, wzrasta jego szerokość. Podobnie jak Pamir, tak samo i owe dwa pasma górskie, obejmujące trójkątną krainę Tybetu, przezwane zostały przez ludność, zamieszkującą ich podnóża: «dachem świata» «drabiną niebieską» i «mieszkaniami bogów».

Spoglądając na te śnieżne szczyty, ludzie ci uważają je za granicę innej ziemi i innego świata; w słońcu śnieżną białością błyszczące, wyglądają one niby fantastyczny kraj zaczarowany, gdzie w sąsiedztwie nieba, zapewne, jest życie pełne uciech.

Jak dalece jednak fantazja poezji odbiega tutaj od rzeczywistego obrazu Tybetu! Tybet jest krajem, któremu podobnego nie znajdziesz nigdzie na ziemi. Jeden tylko Pamir nosi mniej więcej taki sam charakter, ale Pamir jest przecie przedłużeniem w kierunku północno-zachodnim wyżyny tybetańskiej i jedną stanowi z nim całość. Nieliczni podróżnicy, którzy odwiedzali Tybet, opisują go jako krainę mrozów, głodu i śnieżnych zadymek.

W odległości 1500 wiorst od granicy zachodniej wyżyna przeistacza się w szeregi łańcuchów górskich, obniżających się w kierunku wschodnim i poprzerzynanych głębokimi i strasznymi wąwozami, w które dotąd nie zstąpiła noga europejczyka. Od tej strony wejście na wyżynę jest znacznie trudniejsze, niż skądkolwiek indziej. Otchłanna głębia tych wąwozów, na dnie ich lasy nieprzebyte, wreszcie podejrzliwość i niechęć władz chińskich zatrzymywały dotąd podróżników na progu Tybetu od wschodu; zresztą i z innych stron wyżyna Tybetu jest mało dostępna; jak warownia niezdojta wznosi się ona pośrodku Azji, i dla tego ludziom, ster rządów tutaj wiodącym, udało się w zupełności zabezpieczyć ludność od wszelkiego wpływu zewnętrznego.

Czegóż jednak nie zdoła osiągnąć żelazna wola u ludzi, obdarzonych niepohamowaną żądzą wiedzy? W r. 1846 misjonarze Huc i Gabet przedostali się z Chin do Tybetu i wtedy odwiedzili Lasse. Niezmordowany badacz Przewalski trzykrotnie z podziwu godną odwagą wstępował na wyżynę Tybetu z północy, aż śmierć w r. 1888 przerwała mu przygotowania do czwartej podobnej wyprawy. Francuz Bonvallot w towarzystwie księcia Henryka Orleańskiego przeszedł Tybet w kierunku od jeziora Lob-nor do Indochin. Anglik Littdale podróżował wraz z żoną po Tybecie, gdzie doznawał nie dających opisać się cierpień, szczególnie podczas przeprawy na wysokości 5 wiorst przeszło nad poziomem morza.

Amerykanin Rockhill \*), szwed Swen-Hedin \*\*), wreszcie Piewcow, Roborowski, Grombczewski, bracia Grum-Grzymajło i inni badali północną część i kresy północne Tybetu. Nakoniec, rząd angielski w Indjach wyprawia na drugą stronę Himalajów Indusów, obznajmionych z pracami topograficznymi, aby ci, podróżując w charakterze pielgrzymów, zbierali różne wiadomości o kraju i, gdzie się da, rysowali mapy \*\*\*).

Góry Kuen-Lun ciągną się na przestrzeni 2500 wiorst z zachodu na wschód i tworzą jeden z najpotężniejszych łańcuchów górskich na ziemi. Opowiadania jednak podróżników, wiadomości wśród miejscowej ludności zebrane, a także chińskie dokumenty i mapy doprowadzają nas do wniosku, że Kuen-Lun, mimo swe olbrzymie rozmiary, nie może być uważany za najwyższe góry na naszej planecie. Johnson, Przewalski, Montgomery, Riecht-hofen nie przypuszczają, aby którykolwiek ze szczytów Kuen-Lunu wznosił się wyżej ponad 7000 m. nad poziomem morza. Ale ustępując Himalajom co do wysokości poszczególnych szczytów, posiada Kuen-Lun znacznie większą wysokość przeciętną. Obok tego, zdaje się, i przeszłość jego jest dawniejsza. Kuen-Lun powstał w tym okre-

---

\*) The Land of the Lamas.

\*\*\*) W sercu Azji.

\*\*\*) Od czasów Huca i Gabeta, paru zaledwie Europejczykom udało się dostać do Lassy, ostatni dotarł do stolicy Tybetu na czele wojsk indyjskich pułkownik Younghusband.

sie rozwojowym ziemi, gdy nie było jeszcze Himalajów. To nam poniekąd tłumaczy mniejszą względnie wysokość jego wierzchołków. W ciągu całych wieków woda i powietrze odrywały od nich oddzielne kawałki, które, obsypując zbocza góry, stopniowo spadały ku dołowi, i tu prądem strumienia porwane, rozpadały się na drobniejsze części. Wprawdzie szczyty Kuen-Lunu utworzone zostały z minerałów najtwardszych, jak: granit, gneis i syenit, ale cóż ostać się może wobec tego bezwzględego niszczyciela — czasu! Woda nigdy nie bywa w spoczynku: to biegnie jak potężna fala po grzbiecie oceanu, to znów w postaci chmury czy obłoku płynie na powietrzu, lub wreszcie spływa po ziemi jako potok rwący, i tak czy owak, bez chwili spoczynku, choć w sposób nieznaczny, wciąż zmienia wygląd naszej ziemi, usiłując wygładzić na niej wszelkie nierówności. I z pewnością powierzchnia ziemi dawno już stałaby się gładką i byłaby dokoła oblaną warstwą wody, gdyby wewnętrzne siły planety naszej nie tworzyły na niej nowych i olbrzymich garbów.

Wedle słów podróżników, pozbawiony malowniczości Kuen-Lun nie sprawia na widzu wrażenia imponującego, które wywołuje np. widok Himalajów. Szczytami mało poszczerbiony i nieznacznie tylko przełęczami porznięty, wznosi się on ponad piaskami Gobi, niby mur olbrzymi, tu i owdzie śniegiem ubielony. Bez względu na swoją olbrzymią wysokość przeciętną, Kuen-Lun pozbawiony jest tych niezmiernych obszarów śnież-

nych i lodowych, któremi ozdobione są grzbiety Himalajów, wiatr północny bowiem dochodzi do niego, utraciwszy już w drodze przez Azję prawie wszystką wilgoć i tylko resztki jej oddaje góróm Kuen-Lunu. Podobnie i prądy powietrzne z południa, z ponad oceanu Indyjskiego dążące na północ, całą swą zawartość wilgotną pozostawiają na południowych stokach Himalajów, pod postacią deszczów ulewnych lub śniegu, a dopiero w ten sposób osuszone dosięgnąć mogą Kuen-Lunu. Oto dlatego nieliczne tylko strumienie, kierujące swój bieg do rzeki Tarimu, biorą początek w śniegach Kuen-Lunu; ustawiczna praca tych strumieni zostawiła ślady: poryły one w Kuen-Lunie głębokie doliny, któremi z dorzecza Tarimu można się przedostać na wyżynę tybetańską.

Północna, najwyższa i najbardziej rozległa część Tybetu, jest bądź niezamieszкана zupełnie, bądź też odwiedzana tylko przez pastuchów, i dlatego najmniej bodaj ze wszystkich krajów na ziemi została poznana. Do wysokości naszego Mont Blanc'u a nawet i bardziej wzniesiona, wyżyna ta pokryta jest w różnych miejscach kamiennymi długimi garbami, między któremi leżą rozciągnięte pustynie — równiny. Wśród tych równin widzimy jeziora, w których odbija się ciemny błękit nieba, lub też spotykamy białe płyty soli i sody, podobne do śniegu. Przyroda, klimat, są tutaj doprawdy straszne. Grunt tworzy tu glina, bądź też piasek i drobne kamienie, a prawie zu-



pełnie brak mu roślinności. Z rzadka tylko gdzie niedzie napotkać tu można trawy alpejskie i porosty szaro-żółtego koloru, kryjące pod sobą opokę. Ciągłe burze nie wzniecają w krainie tej życia, lecz tylko żłobią w sypkim gruncie brózdę. W ciągu miesięcy zimowych śnieg nie pada tu nigdy, i wtedy suchość powietrza dosięga swego najwyższego stopnia. Zwierzęta, które zdechły w drodze, wędrując tędy z karawaną, nie uległy gniciu, lecz wyschły zupełnie; dlatego główne drogi, przez Tybet wiodące, ubrane są w wielu miejscach takimi mumjami yaków (wołów tybetańskich), wielbłądów i koni. Wskutek znacznego wzniesienia nad poziomem morza, powietrze jest tu do takiego stopnia rozrzedzone, że temperatura wrzenia wody jest tutaj o 12° R. niższa od naszej; w tych warunkach wyprawa przez góry niesłychanie męczy podróżnika; nawet silnie zbudowany człowiek ulega tutaj ogólnemu osłabieniu i zawrotom głowy, odczuwa drżenie w rękach i nogach, i nieraz doznaje wymiotów.

Huc, Przewalski i wszyscy inni badacze tych okolic Tybetu opowiadają o strasznych cierpieniach, których doznali. Również i zwierzęta odczuwają na sobie skutki rozrzedzenia powietrza. Często się zdarza, że wielbłądy, idące na góry, naraz padają, niby piorunem rażone; chińscy pisarze objaśniają to działaniem wyziewów trujących, przez grunt wydzielanych; w rzeczywistości jednak śmierć zwierząt następuje skutkiem uduszenia. Zwierzę, niosące z trudnością pod górę

nietylko ciężar własny ale i bagażu, który obarcza grzbiet jego, ma oddech przyśpieszony i czuje potrzebę większej, niż zwykle, ilości powietrza, a tymczasem powietrze to jest tak rozrzedzone, że na pozór, brak go jest zupełny.

Suche powietrze takiej wyniosłej wyżyny podlega ogromnym wahaniom temperatury. Choć miejscowość położona jest niedaleko od zwrotnika Raka, jednak zimą bywają tu mrozy, dochodzące do 25° R.; towarzyszą im niekiedy ostre, przejmujące wiatry, tak silne, że unoszą w powietrze piasek i drobne kamienie. Takie nawałnice piasku są dla człowieka prawdziwą męką; zaczynają się one słabym wiatrem, który, wciąż się wzmagając, osiąga w końcu nadzwyczajną siłę. Wtedy staje się rzeczą niemożliwą pod wiatr oczy otworzyć albo zaczerpnąć oddechu. Stopniowo całe powietrze wypełnia się pyłem, i słońce, którego światło z początku blado, niby przez warstwę dymu przyświecało, znika w końcu przed wzrokiem ludzkim. Następuje coś w rodzaju wieczornego zmroku, przy którym z odległości kilkuset kroków nie można rozpoznać nawet olbrzymich łańcuchów górskich. Pył, piasek i drobne kamyki mkną, porwane wichrem i układają się na ziemi w zwały, zupełnie jak śnieg przy zadymce \*). W nocy wiatr cichnie, ale mróz się wzmacnia — mróz dla podróżników, przy braku opału w tym kraju, bardzo dotkliwy. Wtedy lu-

---

\*) Przewalski. Mongolja i kraj Tangutów.

dzie rozpalają suchy nawóz (argał) i przy ciepłe jego ogrzewają swe skostniałe członki. Zdarza się także niekiedy, że mroźny wiatr niespodzianie zetnie w lód powierzchnię jeziora; wówczas karawana obładowanych ciężarami yaków, obwieszonych ciężkimi soplami lodu, przyklepionemi do długiej ich szerści, może tylko zwolna postępować naprzód.

Kompanje pielgrzymów, dążące do Lassy z Mongolji, w drodze przez Tybet doświadczają przeróżnych udręczeń. Słone jezioro Kuku-nor jest punktem zbornym tych kompanji — miejscem pierwszego postoju. Nazwa mongolska jeziora Kuku-nor oznacza w przekładzie «Jezioro błękitne»; nazwa ta w zupełności pasuje nie tylko do tego, lecz i do wszystkich innych jezior w północnym Tybecie. Przecudny błękit Kuku-nor'u stanowi pyszny kontrast z olśniewającą białością gór okolicznych. Dziesięć razy rozleglejszy od naszego Gienewskiego jeziora, posiadał Kuku-nor niegdyś rozmiary jeszcze większe; niskie wybrzeża jego noszą wyraźne cechy, że dawniej służyły jako dno jeziora. Pośrodku jeziora wznosi się niewielka wyspa; podług legiendy miejsce jej zajmowała niegdyś otchłań bezdenna, skąd były źródła, grożące światu zatopieniem, aż wreszcie ptaszyna, przez bóstwa wysłana, rzuciła na wody te wyspę i nią zatkała odmęt. Na wyspie tej znajduje się klasztor, w którym przebywają kapłani buddyjscy, przez lato zupełnie odcięci od świata. Powierzchnia jeziora leży 3200 m. nad poziomem

morza, a więc prawie że na wysokości głównych szczytów pirenejskich, a jednak brzegi Kuku-noru porośnięte są trawą o tyle, że na tych po nad obłoki wzniesionych pastwiskach znajdują dostateczną paszę zwierzęta, zatrzymujące się tutaj na postój wraz z karawanami.

Dalsza droga, która ich stąd czeka, nie zawsze ma przebieg pomyślny. Wielu ludzi, a szczególnie wiele wielbłądów i yaków ginie w mroźnych pustyniach Tybetu. Karawany zaopatrują się zawsze w znaczną liczbę zwierząt zapasowych, ale nieraz ludzie bywają zmuszeni porzucić wszystko i własnym tylko zająć się ratunkiem. Tak np. karawana, która w lutym 1870 r. opuściła Lasę, a która składała się z 300 ludzi i z tysiąca wielbłądów i yaków, zaskoczona nagłą śnieżycą, utraciła wszystkie zwierzęta i około 50 ludzi. Jeden z uczestników wyprawy opowiadał potem, że gdy wielbłądy i yaki zaczęły codziennie zdychać dla braku pokarmu, ludzie zmuszeni byli porzucić na drodze nie tylko towar wieziony ze sobą, ale także swą odzież i żywność. W posiadaniu karawany pozostały w końcu tylko trzy wielbłądy. Ziemię pokrywała wtedy tak gruba warstwa śniegu, że o odszukaniu starego suchego nawozu na opał nie mogło być mowy; chcąc się cokolwiek ogrzać, musieli biedni podróżnicy część swoich ubrań oddać na pastwę płomieni. Codzień któryś z członków karawany padał ofiarą ogólnego wyczerpania i zimna; wszyscy chorzy, na niechybną skazani zagładę, wprost na drodze byli zostawiani.

Podczas drugiej wyprawy swojej do Tybetu, widział Przewalski trupa mongoła-pielgrzyma, który wybrał się do Lassy i zapewne jako chory czy też osłabiony, opuszczony był w drodze przez swych towarzyszków. Obok trupa, objedzonego już w części przez wilki, sępy i kruki, znalazł Przewalski kij pielgrzymi, torbę podróżną, gliniany kubek i mały woreczek z herbatą. Te szczątki zmarłych wiatr powoli zasypuje pyłem lub też rozwłóczę je zwierzęta drapieżne.

A jednak, przy wielkim braku roślinności, bez względu na okropne warunki klimatyczne, w północnym Tybecie znajduje się taka moc zwierząt ssących, że wprost, nie zobaczywszy ich własnymi oczami, trudno uwierzyć słowom podróżników. Nigdzie, być może, na świecie, za wyjątkiem chyba nieznanych dotąd krain we wnętrzu Afryki, nie spotka się takiej, jak w Tybecie, bogatej fauny. Podróżnicy opowiadają, że zdarzało im się widywać zdaleka stada antylop, 2000 sztuk liczące; posuwały się one zwolna po równinie, z rogami błyszczącymi w słońcu, podobne do oddziału wojska z bagnetami. Spotykano te zwierzęta zdaleka od wszelkiej zieloności i dlatego należy przypuszczać, że wiadome im są takie miejsca w Tybecie, które obfitują w trawę; ale, chcąc się do tych miejsc dostać, muszą antylopy tysiące wiorst przebiec w ciągu roku. Za to nieznanym im jest tutaj główny ich wróg — człowiek, więc nie tępienie przez niego krwiożerczo, mogą się one swobodnie rozmnażać. Widocznie żadne okrop-

ności przyrody nie są w stanie tyle żywych stworzeń wytepić, co człowiek — istota na pozór tak bezsilna i słaba!

Dziki yak, olbrzymie górskie barany — argali i kuku-jaman, piękne antylopy — orongo i ada, kułan, wilk żółto-białego koloru, niedźwiedź tybetański, lis, kirassu, zając i górski świstak — oto najliczniej spotykane zwierzęta na ponurych wzgórzach Tybetu. Wśród nich pierwsze miejsce zajmuje niezaprzeczenie dziki yak (*Bos grunniens*); jest to wspaniałe zwierzę, zupełnie niepodobne do yaka domowego, którym posługują się Tybetańczycy dla przewożenia ciężarów. Ogrom jego i piękność są zadziwiające. Olbrzymia głowa kosmata, oczy krwią nabiegłe i gęstą przysłonięte szerścią, wielkie rogi, maść ciemna, na ogonie i brzuchu pręga z czarnych włosów, wreszcie cała potężna budowa, dochodząca wagą do 40 pudów, wszystko to czyni yaka najciekawszym i najbardziej wspaniałym zwierzęciem Tybetu. Lecz chcąc mieć o nim pojęcie dokładne, należy go zobaczyć koniecznie w jego zwykłym otoczeniu; na rozległej wyżynie, wznoszącej się do wysokości Mont-Blancu, wśród śnieżnych szczytów, groźnych w swej dzikości, na ziemi dyszącej martwością i zrzadka tylko trawą porośniętej, przy ciągłych burzach — nieustannym chłodzie; oto w jakich warunkach pędzi swe życie ten yak długowłosy, oddawna już sławny i w starożytności zwany «Poëphagus.»

Organizacja yaka najzupełniej odpowiada otaczającym go warunkom przyrody. Podobnie jak niedźwiedź biały, nie znosi on ciepła i dlatego zawsze w cieniu urządza sobie legowisko na śniegu, albo wprost na ziemi, w której kopytami wygrzebuje jamę; rankiem i z wieczora wychodzi na paszę, resztę zaś dnia spędza w zupełnym spokoju, leżąc lub też stojąc, zupełnie podobny do bałwana, tymbardziej że i głowę godzinami całymi trzyma nieruchomo, i tylko nieznaczne ruchy przeżuwanej strawy zdradzają w nim życie.

Z ptaków najbardziej charakterystyczne dla Tybetu są olbrzymie sępy. Rano, ale dobrze już po wschodzie słońca, gdy promienie słoneczne porządnie ziemię przygrzeją, sępy opuszczają swe nocne kryjówki, obrane gdzieś na niedostępnych skałach i, zataczając w powietrzu coraz wyżej kręgi, wznoszą się na taką wysokość, gdzie nie dojrzy ich nawet szkłem uzbrojone oko. Do nadzwyczajnej takiej wysokości wznosi się ten ptak—olbrzym, mierzący na szerokość, gdy rozpostrze skrzydła, około 3 m. I jednak, nawet z niebotycznej takiej wysokości, swym wzrokiem niesłychanym dostrzega on wszystko na ziemi. Oto zauważył, naprzykład, że gdzieś tam w dolinie zebrały się przy padlinie gromadą kruki i kanie; ściga wtedy swe skrzydła i siłą własnego ciężaru, trochę w kierunku ukośnym rzuca się z pod obłoków na ziemię. Szybkość, z jaką ptak ten spada, jest zdumiewająca; dość powiedzieć, że powietrze, rozcinane, głośny świst wydaje. Zanim

do ziemi doleci, rozpuszcza swe potężne skrzydła i bez hałasu siada na padlinie. Inne sępy, w obłokach krążące, dostrzegłszy ruchy towarzysza, wiedzą, o co chodzi; tak samo, jak on, spadają na ziemię, i po chwili dziesiątki już tych strasznych ptaków drapieżnych, których obecności przedtem nie można było nawet podejrzewać, uczują przy trupie.

### III.

Południowa część Tybetu, gdzie znajdują się miasta, gdzie się zgromadziła ludność, gdzie odbywał się rozwój kultury, położona jest znacznie niżej nad poziomem morza, jako wydłużona dolina, zamknięta pomiędzy wyżyną północnego Tybetu i Himalajami. Ta szeroka bródza jest również górzysta, ale klimat jej, jej cała przyroda jest znacznie łagodniejsza i bardziej ponętna; łańcuch gór śniegiem ubielonych, a będących przedłużeniem gór Karakorumu, biegnąc równolegle do Himalajów, ogranicza dolinę tę z północy, i w ten sposób odgradza ją od dzikich wyniosłości północnego Tybetu.

Tu, w tej dolinie biorą początek Bramaputra i Setledź; niewielka odległość dzieli źródła tych rzek, położone w pobliżu wysokiej góry Kajlas.

W oczach bramina i wyznawcy Buddy jest to miejscowość najważniejsza i najbardziej święta. Trudno dociec przyczyny, która wywołała kult religijny dla jakiejś rzeki albo góry; faktem jest



tylko, że ku tej miejscowości, skąd biorą początek Bramaputra i Setledź, miejscowości z pozoru zupełnie zwyczajnej, miliony ludzi mają myśl zwróconą. Kiedy Indus dostrzeże zdaleka niebotyczny wierzchołek Kajlasu, siedmiokrotnie twarzą przypada do ziemi i tyleż razy w religijnym uniesieniu ręce wyciąga ku niebu. On widzi tam przed sobą mieszkanie Magadewy samego, pierwszy i najwznioślejszy ze wszystkich Olimpów, na wierzchołkach których ludy dopatrywały się chwały swoich bogów.

Starożytni Indusi zwali ją górą Meru, która zrodziła ów kwiat lotosu, będący symbolicznym przedstawieniem świata. Tej górze boską cześć oddają również i lamowie Tybetu, i wielu z nich nie cofa się nawet przed strasznie ciężką pielgrzymką dokoła Kajlasu po przez śniegi, kamienie i skalne urwiska. U stóp tej góry, posiadającej jeden bok złoty, drugi — srebrny, trzeci — rubinowy, czwarty zaś z błękitnego kamienia, wzniesiony został pierwszy klasztor buddyjski w Tybecie. Legiendy Indusów, różniące się bardzo w szczegółach, brzmią jednak zgodnie na tym punkcie, że z tajemniczych pieczar Kajlasu wyszło na świat czworo świętych zwierząt: słoń, lew, krowa i koń, zwierząt, symbolizujących sobą cztery wielkie rzeki: Setledź, Ind, Bramaputrę i Ganges.

I w rzeczy samej, potężne te rzeki, biegnące w różne strony, mają swe źródłiska wprawdzie nie na jednej górze, ale w każdym razie na je-

dnej niewielkiej przestrzeni, nie przenoszącej 100 wiorst.

Dolina górnej Bramaputry, jakkolwiek niższa od wyżyny północnego Tybetu, zbyt jeszcze wyniesiona jest nad poziomem morza, by mogła w pełni zakwitnąć urodzajnością. Miasto Lassa, nad jednym z dopływów Bramaputry, leży na wysokości blisko 3500 m., a więc ponad najwyższymi szczytami gór Pirenejskich. Tak znaczna wysokość czyni tu rolnictwo niemożliwym; gdzieniegdzie tylko udało się zakonnikom buddyjskim urządzić mały ogródek obok klasztoru. Hodowla bydła stanowi główne zajęcie ludności; tu właśnie wyhodowano te doskonałe rasy kóz i owiec, które dostarczają najprzedniejszej w świecie wełny na wyrób niezwykle trwałych, chociaż cienkich tkanin. Nie należy mniemać, że mieszkańcy tutejsi bliżcy są stanu dzikości. Rysami twarzy zbliżeni do rasy tak zwanej mongolskiej, mają przyjemny wygląd, a odznaczają się uprzejmością, wesołością i zamiłowaniem śpiewu, muzyki i tańca. Na nieszczęście opanowani są przez swe duchowieństwo, które wszelkimi siłami stara się ich odgradzić od reszty świata.

Wiadomo, że Tybet stanowi ognisko buddyzmu, wyznawanego przez trzecią część całej ludności. W piątym wieku misjonarze Indusów usilnie zaczęli krzewić buddyzm wśród Tybetańczyków, którzy do owego czasu oddawali cześć jedynie górom, rzekom, jeziorom i drzewom, jako przejawom różnych sił przyrody. Po latach dwustu

klasztory buddyjskie były już rozrzucone po całym Tybecie, i od owego czasu światło nauki Buddy zaczęło z wyżyn Tybetu przyświecać ziemiom okolicznym.

Teraz duchowieństwo zagarnęło w zupełności władzę nad narodem i z pośród siebie obiera Dalaj-Lamę, w którym ma być ucieleśniony sam Budda. W razie śmierci Dalaj-Lamy dusza Buddy obejmuje w posiadanie ciało niemowlęcia, które przyszło na świat w dniu śmierci Dalaj-Lamy; o wyborze niemowlęcia tutaj decydują lamowie, za zgodą rządu chińskiego, który od czasu do czasu wzywa dla narad i umów wybitniejszych lamów do Pekinu. Zwykle Dalaj-Lama ponosi śmierć z ręki mordercy, jako niewinna ofiara własni i intryg, panujących w sferze duchowieństwa.

Gdy Przewalski po raz trzeci odwiedzał Tybet, na tronie Dalaj-Lamy zasiadał chłopiec pięcioletni; dla ludności zresztą, która tego najwyższego kapłana nigdy nie widuje, obojętną jest rzeczą, kto tam siedzi zamknięty w wyłocnym pałacu w Lassie; to dotyczy lamów. Z punktu widzenia rządu chińskiego najbardziej pożądaną jest rzeczą, aby godność Dalaj-Lamy należała do człowieka słabego, bez energji, bez woli: rząd chiński doskonale pojmuje, że starczy jednego słowa Dalaj-Lamy, aby poruszyć całą niemal ludność Azji Środkowej. A i w samych Chinach buddyzm ma tylu wyznawców!

Niektórzy z buddystów w Tybecie, pragnąc uniknąć grożącej im wędrówki duszy, usiłują uwol-

nić się od wszelkich materialnych więzów, aby na łonie wieczystego bóstwa znaleźć odrodzenie. Podobnych jednak ludzi, zajętych oderwanemi wzniosłemi sprawami, rzadko spotykamy. Znaczna zaś większość lamów i ogół ludności traktuje buddyzm jako rodzaj magji, jako środek broniący człowieka od przeciwności i wszelkich złych duchów. Dlatego też Tybetańczyk w ciągu całego życia swego modli się lub czyni zaklęcia. Najczęściej mianowicie powtarza znaną formułkę, złożoną z czterech tajemniczych słów, których sensu nie może dojść żaden ze znawców języka; nie znają go też i lamowie. «Om mani padme gum» — oto są wyrazy mistyczne, których musi się nauczyć tybetańskie i mongolskie dziecko, zanim jakkolwiek inny wyraz potrafi wymówić. Dla wielu są one jedyną modlitwą, powtarzaną zato bezustanku. Tybetańczyk nie zna ich pochodzenia, nie pojmuje sensu, ale to jest dla niego zbyt ważne. W prostocie swej duszy wierzy, jak i całe jego otoczenie, że te wyrazy groźne, pełne tajemnicy, posiadają moc wielką, więc co moment ma je na ustach. Nie dość na tym, wypisane są one na ścianach domów i świątyń, na ulicach, na drogach i skałach, nawet w najbardziej oddalonych miejscach. Istnieją całe bractwa w tym celu, aby wyrzynać wielkimi literami na przydrożnych skałach święte napisy, któreby przejeżdżający obok mogli odeczytywać.

Każdy Tybetańczyk nosi na szyi lub ręce rozmaite amulety ze złota, srebra, albo z innego

metal, amulety, wewnątrz których mieszczą się wraz z modlitwą posążki bożków i różne przedmioty, jak np. włosy świętych lamów, paznokcie i zęby. Młynki do modlitwy używane wszędzie, gdzie tylko wyznają buddyzm, w Tybecie szczególnie są rozpowszechnione. Ogromne koło z wypisanymi słowami modlitwy, poruszane siłą wiatru lub wody, niesie za każdym obrotem nową modlitwę do nieba. Bardzo często można tutaj także widzieć wysokie tyczki, na których powiewają flagi z napisami świętymi; każdy więc podmuch wiatru, kołyszący flagę, jak gdyby powtarza te wyrazy święte. Nieraz podobne tyki ustawiają na wysokich górach (spotykano je na wysokości 6000 m.) w tym naiwnym przekonaniu, że stąd łatwiej im jest podać modlitwę do nieba.

Większość wyzłoconych figur, zdobiących świątynie buddyjskie, stanowi wierne kopje bożków Indusów; głównym jednak bożyszczem, żywym bożkiem ludu jest—Dalaj-Lama. Kwadrans drogi od Lassy wznosi się na równinie niby wyspa, wystająca z wody, wysoka stożkowata skała; nazywają ją Budda-la t. j. górą Buddy. Na niej pobudowano kilka pałaców, z których środkowy wyróżnia się swoją wysokością i złotą błyszczącą kopułą. Tu właśnie mieszka Dalaj-Lama i stąd wzrok jego pada na tłumy pielgrzymów, zgromadzone w niezmiernej liczbie u stóp góry Buddy. Resztę pałaców zajmują całe chmary lamów.

Do miasta prowadzą stąd dwie długie aleje, wzdłuż których cisną się pielgrzymi, przebiera-



jąc z namaszczeniem paciorki różańca. A tymczasem «nadworni» lamowie, w bogatych szatach, pyszniąc się, jeżdżą wśród tłumu na koniach przybranych wspaniale. Kiedy dzień już dobiega do końca i słońce rzuca na górę Buddy ostatnie promienie, wtedy wszystko, co żyje w Lassie, przerywa robotę i wyległszy na ulice miasta, powtarza, leżąc twarzą przy ziemi, wyrazy modlitwy. Głuchy a potężny pomruk unosi się wtedy nad Lassą i poprzez mroki wieczoru biegnie do pałacu Dalaj-Lamy.

#### IV.

Turkestan Chiński obszarem swym dwukrotnie przewyższa Francję, ale podczas gdy ten piękny kraj europejski zamieszkuje 38 milionów mieszkańców, tu w Turkestanie liczba ludności sięga zaledwie  $\frac{1}{2}$  miliona, a więc mniej niż w jakimkolwiek z drugorzędnych miast europejskich. Brak wody jest główną przyczyną tak słabego zaludnienia kraju. Deszcz stanowi zjawisko niezwykle, i woda jest produktem rzadkim i drogocennym. Miejscowość, objęta martwością, nosi wygląd pustyni, zupełnie prawie dotąd nie zbadanej \*). Grunt pokrywają drobne kamienie i piaski, które wiatr przerzuca z miejsca na miejsce.

---

\*) Szwedzki podróżnik Swen Hedin w pierwszym tomie swego dzieła «W sercu Azji» daje barwny obraz południowej części Turkestanu Chińskiego, znanego pod nazwą Takła-makan. Większa część karawany Swen Hedina zginęła tutaj z braku wody.

Zaledwie zerwie się wiatr wschodni, wnet żółty pył wypełnia całe powietrze, przez które ognista kula słońca słabo tylko świeci. Niebo przybiera wtedy barwę czerwonawo-żółtą, a mgła piaszczysta przysłania kształty gór. Chińskie księgi ze strachem mówią o tych miejscach, będących królestwem smoków i złych duchów. Zbielałe kości wskazują tutaj drogę wędrowcowi; strwożony, wyraźnie rozróżnia on głosy i śmiechy wychodzące z piasków i z niego szyszające. Być może, złudzeń podobnych doznaje tylko wyobraźnia, chorobliwie rozbudzona długą i męczącą drogą, ale być również może, że piach rozpalony słońcem wydaje takie osobliwe dźwięki. Podróżnik Lenc, gdy przebywał pustynię Saharę, wyraźnie rozróżniał dźwięki, które rozlegały się z gorącego piasku \*).

Skoro wiatr się uspokaja, zwały piasku zamierają i żółty pył zwolna osiada na ziemi. Od strony północnej, zachodniej i południowej ukazują się na tle błękitnego nieba groźne a piękne, niby z zimowej baśni przeniesione tutaj białe szczyty Thian-Szanu, Pamiru i Kuen-Lunu. Ich śniegi dają początek niezliczonym rzeczkom, spływającym z szumem po dzikich wąwozach kamiennych, któremi zbiega gór są porznięte.

Z chwilą jednak, gdy strumienie te porzucają góry rodzicielskie i zaczynają płynąć po równinie, grozi im niechybna zagłada. Gorąca ziemia

---

\*) Reclus.

pustyni chciwie wchłania ich wilgoć, a z większą jeszcze chciwością biegnie ku nim człowiek, aby nie postradać ani jednej kropli tego drogocennego płynu.

Ta woda śniegowa z gór, w muł drobny obfita, jest dla biednego kraju prawdziwą siłą życiodajną. Dzięki jej rozległa pustynia Turkestanu Chińskiego obramowana jest pierścieniem szmaragdowym oaz, rozrzuconych u stóp łańcuchów górskich okolicznych.

Gdy więc strumień, biegnący z gór, zstąpi na równinę, natychmiast ujmują go, niby potężne ramiona, liczne kanały, zabierające jego mętną wodę. Ziemia, co ją wsysa, okrywa się potym bujną zielonością. Powoli przelewa się woda kanałami z jednego sadu do drugiego i wszędzie gdzie tylko zetknie się z rozpaloną ziemią, tak wilgoci spragnioną, budzi w niej pyszną roślinność do życia.

Jakich bo roślin tu się nie spotyka! Dokoła chat glinianych stoją topole i orzechy włoskie, w wodzie kanałów przeglądają się drzewa morwowe, jabłonie, grusze, brzoskwinie, oliwki, a krzew winny, gęste tworzący zarośla, daje soczystą jagodę. Tuż obok konopi, bawełny, ryżu, kukurydzy, żółcą się olbrzymie melony i tykwy. Ogrody są tak bujne, że miasta i wsie zupełnie giną wpośród zieloności. Często wązkie uliczki przykryte są z góry drabinkami, z których po nad głowami przechodniów zwisają sploty liści, owoców i kwiatów. Odurzający zapach różnych ro-



ślin łączy się tu ze śpiewem ptactwa i szmerem strumieni.

Klimat Turkestanu Chińskiego jak najbardziej sprzyja temu bogactwu świata roślinnego. Tutaj nie znają ostrych zim mongolskich; rzeki wolne są od lodu, a śnieg trzyma się parę dni zaledwie. Już w końcu lutego okrywają się drzewa liśćmi, a na łąkach zaczynają kwitnąć \*) tulipany i saskanki. Później nadchodzi upalne lato, bez kropli deszczu, ale za to z tumanami pyłu. Na szczęście śniegi, silnie topniejące w górach, napełniają teraz kanały wodą w obfitości.

Nie wszystkie jednak potoki płynące z gór przez Chiński Turkestan oddają ogrodom swoją wodę; niektóre z nich niosą z sobą taki jej zapas, że, płynąc dalej przez pustynię, łączą się w cztery rzeki: Chotan-darja, Jarkand-darja, Kaszgar-darja i Kizyl-kungej, z których powstaje znana rzeka Tarim. Ślimakiem biegnąc pomiędzy górami, rozwidła się Tarim na coraz liczniejsze odnogi; długością prawie równy Dunajowi, nie staje się jednak jak ten, w miarę zbliżania się do ujścia coraz bogatszym w wodę, coraz potężniejszym; przeciwnie, im bliżej ujścia, z każdą niemal wiorstą zmniejsza się ilość wody w Tarimie.

Zbliżając się do najniższego punktu swojego dorzecza, Tarim płynie zupełnie wolno; prawie że się nie porusza pomiędzy niskimi brzegami, porośniętymi wysoką na 3 sążnie trzcina, skła-

---

\*) Grisebach. Die Vegetation der Erde.

niającą ku wodzie swe złociste wiechy. Obok trzciny, małe dzikie oliwkowe drzewa, tamaryszki i topole wysmukłe towarzyszą rzece w drodze przez pustynię. Wśród tych zarośli spotkać łątwo lisa, rysia, zająca i dzika, a nawet niekiedy tygrysa; ostrożna antylopa i jeleń przychodzą również na brzegi Tarimu, aby ugasić pragnienie.

Podzielony na liczne odnogi, ginie niekiedy Tarim pomiędzy trzcunami i wtedy może się wydawać, że rzeka wsiąkła w ziemię i przepadła. Tymczasem kilka wiorst dalej znowu się pojawia, jako strumień, powoli płynący. Aż wreszcie w biegu swoim napotyka Tarim zagłębienie, wypełnia je i tworzy jezioro Lob-nor, z którego wydostać się nie posiada mocy. Tu kończy się walka Tarimu z pustynią, śmierć odnosi zwycięstwo nad życiem. Przez piaski lotne pustyni wessany, zabity palącemi promieniami słońca, ginie Tarim, nie dołówszy się do żadnej innej rzeki, któraby wody jego mogła odprowadzić het do oceanu.

Smutek i pustka panuje na brzegach Lob-noru; tylko między sitowiem stoi parę chat zablakanych. Zamieszkują je rybacy, w Tarimie bowiem jest wielka obfitość ryb. Cisza otacza jezioro; niekiedy tylko wiatr pustyni złowrogo szeleści trzcunami. W lutym, miliony ptactwa, ze zmęczenia ledwie zdolnego do ruchu, obsiadają sitowie jeziora. Powtórnie zjawiają się one w jesieni. Podczas przelotów na Syberję z Indji i z powrotem, znajdują one nad Lob-norem, leżącym na połowie drogi, chwilowy przytułek.

Gdyby nie obecność jeziora tego wśród mar-  
twej pustyni, kto wie, czy ptactwo mogłoby od-  
bywać takie dalekie wędrówki. Ale i w czasie  
pobytu tych skrzydlatych gości, nie nie ma-  
ciszy nad Lob-norem. Długim przelotem zamę-  
czone, nie zdradza ptactwo najmniejszym krzy-  
kiem obecności swojej na jeziorze. Warto zau-  
ważyć, że wszystkie te ptaki przelotne fruną na  
wiosnę nie z południa lecz z zachodu.

Oczywiście więc omijają one drogę wprost przez  
Tybet i, czyniąc znaczne zboczenie, lecą przez  
przejścia w górach Himalajskich, skąd Ind począ-  
tek bierze, i teraz dopiero wzdłuż północnych sto-  
ków Kuen-Lunu kierują lot ku Lob-norowi.

W pustyni dokoła Lob-noru Przewalski napot-  
kał dzikiego wielbłąda, o istnieniu którego ucze-  
ni wątpili, choć pisały o nim chińskie roczniki  
i opowiadali mieszkańcy Turkestanu Chińskiego  
i Mongolji. Dzikie wielbłądy zamieszkują pias-  
czystą pustynię na wschód od Lob-noru, a także  
okoliczne odnogi Kuen-Lunu, gdzie przebywają  
w sąsiedztwie yaka i kułana. Choć bardzo ostro-  
żne i płochliwe, tępione są one ogromnie przez  
myśliwych z nad Lob-noru; wskutek tego, w ostat-  
nich czasach liczba ich znacznie się zmniejszyła.  
Gdy idą pod wiatr, już o kilka wiorst mogą wę-  
chem rozpoznać człowieka; słysząc wystrzał lub  
też czując się tropionemi, biegną całemi godzina-  
mi wprost przed siebie bez chwili wytchnienia.

Na zasadzie różnic, dostrzeżonych pomiędzy  
niemi, a wielbłądami oswojonemi, Przewalski uwa-

ża je za zwierzęta rzeczywiście dzikie—za przodków wielbłąda oswojonego, którzy się przechowali w głębi Azji Środkowej \*).

Do szerokich zatok w oceanie często dochodzi prąd morski, wlokąc tu za sobą wszystko, zabrane po drodze.

Tak samo i na rozległej równinie, którą z trzech stron otaczają największe góry na ziemi, rozmaite ludy połączyły się i zmieszały ze sobą. Jednych pociągnął tutaj handel, innych wojna; jedni przyszli tutaj jako zbiegowie, albo zwyciężeni, drudzy jako zwycięzcy. Persowie, Arabowie, Tybetańczycy, Kirgizi, Kałmacy, Mongołowie i Turcy, wreszcie Indusi i Chińczycy, wszyscy złożyli się na powstanie tej dziwnej etnograficznej mieszaniny, która nosi nazwę Sartów i Tadżyków turkestańskich. Rośli i zgrabni, z twarzami brązowego koloru i oczami, noszącymi skutkiem bezustannego pyłu ślady zapalenia, ludzie ci okrywają turbanem ogolone głowy i barwne na siebie wkładają chałaty. W oczach Europejczyka wszyscy oni wykazują między sobą wielkie podobieństwo; jeżeli co wśród nich wytwarza różnice, to chyba rodzaj zajęcia. Rolnicy, mieszkający na równinie, różnią się, bez względu na swe pochodzenie od pasterzy, wiodących razem ze stadami koczujące życie w okolicy górskiej i zwanych

---

\*) W tej części Azji Środkowej, znanej pod nazwą Dżungarji, bracia Grum-Grzymajło spotkali dzikiego konia; uważać go, zdaje się, należy również za przodka naszych koni oswojonych, choć posiada wiele cech osła.

ogólnie, choć nieściśle, Kirgizami. Zresztą i wśród samych mieszkańców równiny dostrzegamy pewną zmianę typu, w miarę tego, im bardziej oddalamy się od stóp Kuen-Lunu i Pamiru ku wschodnim odnogom Thian-Szanu. Tam przeważają rysy in-do-europejskie, tu mongolskie biorą przewagę. Wszyscy posługują się mową, zbliżoną bardzo do języka, którego używają mieszkańcy Taszkientu i innych miast Rosyjskiego Turanu. Ludzie, znający ten ostatni, w ciągu kilkutygodniowego przebywania w Turkestanie Chińskim przyswajają sobie z łatwością język miejscowy. Jedyne pewną trudność sprawiają im przy tej nauce niektóre wyrazy chińskie, wymawiane w sposób przekrecony.

Język, o którym mówimy, pozbawiony jest literatury; nie posiłkował się nim żaden poeta, a wogóle książki w tym kraju stanowią wielką osobliwość.

Tu na kresach pustyni islam ma swoich gorących wyznawców. Chrześcijan, zarówno prawosławnych, jak i katolików, traktują z wielką nienawiścią. Podróżując z karawaną przez pustynię, od jednej oazy do drugiej, można nieraz zauważyć czworokątne, kamieniami ogrodzone miejsca: te skromne budowle otoczone są taką samą czcią, jak meczety w miastach. Przechodzień w pokorze zgina przed niemi kolana, a w braku wody, przepisanych obmywań dokonywa piaskiem.

Tutaj przetrwały jeszcze różne enoty, których wymagał Mahomet od ludzi. Gdy kupcowi, idą-

cemu z karawaną, padnie w drodze wielbłąd, zdjęty bagaż kupiec najspokojniej pozostawia w miejscu, aby zabrać go w podróży powrotnej; nikt z przejezdnych z pewnością nie dotknie się cudzej własności.

Turkestan Chiński jest krajem biednym, a cały «dobrobyt» jego zawiera się w rzekach, z gór płynących. Domki gliniane mieszkańców nie są nawet wybielone wapnem; wewnątrz nich wszystko jest pokryte owym przeklętym pyłem. Oprócz rolnictwa i ogrodnictwa wyrób tkanin bawełnianych, lnianych i jedwabnych, a także mocnych i pięknych dywanów, stanowi zwykle zajęcie mieszkańców. Masę przedmiotów, służących do codziennego użytku, sprzedają tutaj cudzoziemcy. Obecnie wiele towarów nadsyła tu Rosja, znacznie więcej, niż Indje angielskie. Wpłynęły na to dwie przyczyny: większa dostępność przejść w górach od strony rosyjskiej niżeli indyjskiej i pokrewieństwo pod względem religji i języka pomiędzy mieszkańcami Turkestanu Rosyjskiego i Chińskiego. Wzajemnie traktują się oni, jak bracia, gdy tymczasem okazują nienawiść «nieczystym» Indusom i Tybetańczykom \*).

Nie mniej jak 13 dróg, dla karawan przeznaczonych, prowadzi przez Thian-Szan; wszystkie latem są dosyć dostępne, a jedną z nich łatwo by uczynić nawet drogą jezdną; tę mianowicie, która łączy Kaszgar z fortem rosyjskim Naryn. W zi-

---

\*) Reclus.

mie tylko przełęcz Terek-Dawan 3048 m. wznie-  
siona, utrzymuje komunikację i to o tyle tylko,  
o ile nie jest przysypana zbyt głębokim śniegiem\*).  
Jeżeli posiadłości rosyjskie połączone zostaną  
z Kaszgarem koleją żelazną, to zapewne będzie  
ona poprowadzona przez Terek-Dawan.

Niegdyś w czasach odległych, w Chińskim Tur-  
keście były liczne miasta, bogate i ludne. Dzi-  
siaj leżą one w gruzach, nad którymi wiatry usy-  
pały kopce piasku. Tutaj, podobnie jak w Egip-  
cie, ruiny przechowują się nadzwyczajnie długo,  
dzięki suchości powietrza i brakowi deszczu. Spo-  
tykamy mury z cegły niewypalanej, lecz wprost  
suszonej na słońcu, które dziś jeszcze w takim  
samym, jak przed wiekami, znajdują się stanie.  
Piasek przechowuje także doskonale zasypane  
gmachy; widzimy to, ile razy wiatr odsłoni je,  
unosząc z nich piaszczyste pokrycie. Opowiada-  
ją, że wśród tych resztek miast starożytnych, mo-  
żna było znaleźć monety bizantyjskie i greckie,  
a także złote kosztowności, podobne do tych, któ-  
remi przyozdabiają się obecnie kobiety indyjskie\*\*).

## V.

Na wschód jeziora Lob-nor ciągnie się szeroki-  
m pasem przez Mongolję, prawie aż do samego  
podnóża Chinganu pustynia Gobi.

---

\*) A. Kuropatkin: Kaszgarja.

\*\*\*) Johnson, Forsyth i inni.

Podobnie jak Sahara w Afryce, i Gobi jest wystawiona na działanie suchych wiatrów; więc choć deszcze czasami tutaj przypadają, jest ich zbyt mało, by mogły się uporać z nieurodzajnością gruntu. Zimą panuje w Gobi wiatr północno-zachodni; wśród lodów oceanu Północnego zrodzony, biegnie on na przestrzeni 3000 wiorst ponad przykrytą śniegiem równiną Syberji, a pozostawiając resztki wilgoci na zboczach gór Sajańskich, dalej, nad Mongolją unosi się już suchy, ostry i tak przejmujący, że nawet ludzie miejscowi, do wszelkich niewygód przywykli, zmuszeni są twarz zakrywać maską futrzaną. Latem dąć zaczyna musson południowo-wschodni, idący z ponad ciepłej powierzchni oceanu Wielkiego. Górom Chin i Indochińskiego półwyspu oddaje on całą swoją wilgoć pod postacią strasznych deszczów ulewnych. Zrzadka tylko resztką jej dojdzie do pustyni Gobi, a skroplona w krótkotrwałym deszczu, tworzy czasowe jeziora na gliniastym gruncie; jeziora te wkrótce wysychają zupełnie, pozostawiając jako ślad po sobie na ziemi cieniutką warstwę białej soli. Gwałtowne strumienie po deszczu żłobią w miękkim gruncie głębokie parowy; na dnie ich można czasem znaleźć trochę wody i to wtedy jeszcze, gdy dokoła upał wszystko już wysuszył.

Śniegu i deszczu prawie zupełnie pozbawiona, nie może tu ziemia przystrajać się w zieloność i pozostaje niemal całkowicie naga. Przyczyną więc pustynnego charakteru miejscowości jest tu-



taj nie gatunek gruntu, ale warunki klimatu. Nie ma gleby tak nieurodzajnej, któraby, posiadając dostateczną ilość ciepła, wilgoci i światła, nie okryła się szatą zieleności. Na nagim granicie i skałach wapiennych wyrastają lasy nieprzebyte; przecież i nasze grunty gliniasto-piaszczyste, przy całej swej nieurodzajności, nie pozbawione są pól i przestrzeni leśnych. Zawdzięczamy to obfitości opadów atmosferycznych, które, przesycając wilgocią powietrze i ziemię, zbierają się potym w najniższych jej miejscach i bądź spływają w postaci krętych rzeczek, obrośniętych kępami olch i wierzb, bądź też zostają bez ruchu, skupione w większe i mniejsze jeziora.

U nas niebo rzadko bywa zupełnie czyste; to zwolna płyną po nim białe błyszczące obłoki, wciąż zmieniając kształty, to znów pędzą szybko ciężkie ołowiane chmury; czasem całe niebo jest zaciągnięte szarą wilgotną zasłoną, przez którą z trudem przedzierają się promienie słońca, i wtedy zmrok ponury panuje dzień cały.

W Gobi nic podobnego ludzie nie widują. Tam powietrze suche jest i przezroczyste; nad niemi—rozpostarty ciemny błękit nieba, a w nocy gwiazdy iskrzą się daleko bardziej, niż u nas. Upływa tydzień za tygodniem, i ani kropelka wilgoci nie spadnie na ziemię, a jeżeli czasami światło słońca bywa przysłonięte, to nie chmurami, ale czerwonym pyłem, który wiatr uniósł w powietrze i który całą warstwą przysypuje ręce, wżera się w oczy i trzeszczy pomiędzy zębami.

Ten drobny, żółty pył, którego kłęby niesie wiatr w pustyni, opada na jej kresach, tworząc tu grube pokłady urodzajnej ziemi — «lössu», odznaczającego się niewyczerpaną wprost urodzajnością. Richthofen przypuszcza, że te olbrzymie pokłady «żółtej ziemi,» które znajdujemy w prowincjach chińskich w sąsiedztwie pustyni, powstały właśnie z pyłu, nawianego z Gobi.

Podobnie jak w Saharze, tak samo i w pustyni Gobi spotykamy w wielu miejscach skały i grzbieity kamienne, przez czas w połowie zniszczone; rozłożone między niemi równiny usiane są okruciami skalnemi, wśród których widzimy kawałki chalcedonu, krzemienia i agatu. Czasami równina, pokryta takim rumowiskiem kamiennym, jest do tego stopnia jednostajna i gładka, że wygląda jak morze w czasie pochmurnym; rozpostarte nad nią sklepienie niebieskie, gdzieś het daleko opuszcza się nad jej widnokregiem. Niekiedy z pod tych drobnych kamieni sterczy naga granitowa ściana albo kawałki łupku glinianego. W innych znów miejscach w Gobi widzimy gruby czerwony piasek, wśród którego również występują złomy granitowe. Sypki drobny piasek tworzy tu jedynie niewielkie pasma, niby rzeki piaszczyste, po chińsku nazywane sza-ho.

Jakkolwiek na pierwszy rzut oka, ziemia wydaje się tutaj jałowa i martwa, to jednak przy większej uwadze można dostrzec na niej trochę roślinności. Na piasku ścielą się bezlistne łodygi saksaułu, wśród kamieni wyrasta niskimi pęczkami Alhagi

camelorum, koloru szaro-zielonego, tam, gdzie w gruncie znajduje się glina, zjawia się roślina *Lasiogrostis splendens*, zwana po mongolsku dy-rysu, mocna jak drut i mierząca nieraz 1<sup>1</sup>/<sub>2</sub> me-tra na wysokość. Obok nich spotykamy jeszcze *Kalidium gracile*, chętnie spożywane przez wiel-błądy, dziką cebulę, wreszcie drobną bylicę pio-lun i kilka innych roślin, należących do rodziny złożonych i traw. W jesieni gwałtowne wiatry wyrrywają z ziemi bylicę razem z korzeniami i, kręcąc z niej ogromne kule, pędzą je przez nie-zmierzone przestrzenie pustyni.

Dziwny sprawiają widok te biegnące piguły z przepalanej trawy; toczą się one niby na wy-ścigi i szczególnie o zmroku mają osobliwy wy-gład. Tu i owdzie w pustyni wznoszą się wały kamienne znacznej wysokości; między niemi z roz-padliny w skale sączy się woda, ściekając do najbliższego zagłębienia w ziemi; stąd płynie je-szcze kilkadziesiąt sążni i wkrótce zostaje przez grunt pochłonięta \*).

Zwykle woda ta ma smak gorzkawo-słony i od-znacza się przykrym zapachem. W takich miej-scach w pustyni powstają oazy, gdzie biwakować mogą karawany, znajdując wodę dla zwierząt i lu-dzi i choć trochę paszy dla nakarmienia zmęczo-nych drogą wielbłądów i koni.

W lecie przeprawa przez Gobi jest nader uciąż-liwa i wprost niedostępna dla ludzi o słabej or-

---

\*) Piasecki. Podróż po Chinach II.

ganizacji. Gdyby istniała tu droga żelazna, pociąg szybko przebiegłby pustynię i wtedy bez wielkich wysiłków możnaby odbyć tę podróż, a tymczasem w obecnych warunkach trzeba się wlec noga za nogą godzinami całemi od jednej oazy do drugiej. W dodatku pustynia jest tak jednostajna, iż ma się wrażenie, że się wcale po niej nie posuwamy a wciąż na miejscu stoimy, końca drogi przed sobą nie widząc. Przy czystym błękie nieba i w blasku promieni słonecznych, pustynia, kamykami drobnymi usiana, ma kolor szaro-błękitny i wogóle swym wyglądem przypomina sklepienie nieba. W pewnej odległości kolor jej przybiera odcień fioletowy, a na samym widnokręgu staje się błękitnym, jak i kolor nieba; ginie więc granica między tym ostatnim i ziemią. Słońce pali niemiłosiernie, i karawana, resztki sił zbierając, zwolna posuwa się naprzód ociężałym krokiem. Widnokrąg błyszczy, jak zwierciadło, a powietrze rozpalone migoce przed oczami. Gdy się zapatrzyć długo w jedno miejsce, ma się złudzenie, że cała powierzchnia, dokoła przestoczona w jakiś obłok pary, unosi się i leci ku górze.

Przy takim stanie powietrza wzrok ciągłym ulega złudzeniom. Zmęczonym oczom ukazują się wciąż na widnokręgu jakieś wyspy, jeziora i lasy; posiadają one podobieństwo jednak dalekie do rzeczywistości. Tylko obrazy wody mogą w błąd wprowadzić człowieka; wszystko inne zarysowuje się zbyt niewyraźnie, by mogło być przyjęte za

prawdę. Wskutek błyszczenia powietrza, wszystko dokoła przybiera jakieś kształty zmienione i dziwaczne; wielu zaś przedmiotów w blasku promieni słonecznych zupełnie dostrzec nie można. Objuczony wielbłąd wyda się nieraz, jak obłok, wiszący gdzieś na widnokręgu; jeździec na koniu, podobnym być się zdaje do jakiegoś słupa, i długo — pilnie trzeba się wpatrywać, aby poznać, co się ma przed oczami \*).

Wśród dnia zaczyna pragnienie męczyć zwierzęta i ludzi; wtedy myśl nieustannie zwraca się ku wodzie, której ponętne obrazy stają wciąż w wyobraźni; to czuje się w ustach jej smak orzeźwiający, to znów słyszy się szmerzącą fontannę albo ma się przed oczami poprostu szklanekę wody, zaczerpniętej z przezroczystego jak kryształ i zimnego źródła.

Tymczasem do tego boskiego napoju jest jeszcze daleko! Gdzieś hen w oddali rozplywa się na widnokręgu wydeptana przez wielbłądy ścieżka, która pod wieczór, być może, doprowadzi ludzi do oazy. Gdy nareszcie wielka tarcza purpurowa słońca zbliży się ku ziemi i trochę chłodu padnie na pustynię, zwierzęta przyśpieszają kroku, jak gdyby czując, że woda już blisko. Teraz kierownik jest dla nich zbyteczny: pojmują one nie gorzej, niż człowiek, dokąd wiedzie ścieżka, z chwilą zaś, gdy nakoniec ukaże się studnia, trudno już je utrzymać na wodzy. Nie można nawet wy-

---

\*) Piasecki.

razić uczucia rozkoszy, z którym zwierzęta zanurzają swe wargi do skąpego źródła, by ugasić tu pierwsze pragnienie. Zwykle ilość wody jest niedostateczna i, kiedy napiją się ludzie, dla zwierząt ani kropli nie zostaje w studni; trzeba czekać, by się jej trochę zebrało na nowo. Wtedy widok łagodnych tych stworzeń, z bokami zapadłymi, z mętym obłąkanym wzrokiem, spoglądających z przerażeniem, czy uda im się zdobyć choć łyk ożywczego płynu, dla człowieka wrażliwego jest wprost nie do zniesienia. Wiele zwierząt ginie, nie doczekawszy się upragnionej chwili, i dlatego nieraz znajdujemy przy samych studniach w pustyni trupy wielbłądów i koni.

Zwykle roślinność oazy jest uboga i nędzna; wielbłąd jeszcze wynajdzie sobie jakieś ostre i kolące krzaczki, ale dla koni często niema tutaj żadnego pokarmu. Głodem trawione przechodzą wciąż z miejsca na miejsce, niecierpliwym krokiem poszukując paszy; ale ziemia jest tu całkiem uboga, więc biedne zwierzęta nie mogą znaleźć pokrzepienia nawet wówczas, gdy noc swym chłodem ogarnie pustynię i rozpostrze nad nią milionami gwiazd wyskrzone niebo.

Tymczasem rankiem biednym koniom na grzbiec ty znowu wkładają siodła. Także i wielbłądy ze stękaniem przyklękają, słysząc rozkaz ludzki; znów na otarte ich garby kładą siodła, towary i inne przedmioty, niezbędne w podróży, jak drzewo, naczynia z wodą, pościel, prowiant, namioty i inne.

Gdy wszystko wreszcie już upakowane, cała ta kalwakata przy głośnych krzykach poganiaczy wyrusza w drogę przez pokrytą zmarszczkami pustynię; wkrótce karawana znika po za pagórkami i tylko szmer ściekającej wody przerywa ciszę w oazie.

Teraz z bojaźnią zbliża się ku niej antylopa i kułan, niewielkimi tabunami po pustyni błędzące.

A oto parę ptasząt na kamieniu u źródła przysiadło. Wszystkie te stworzenia ściągnęło w to miejsce to samo, co i człowieka; i dla nich oaza jest źródłem życia, jak pustynia — śmierci.

Istnieją też oazy innego rodzaju. Na widnokręgu zjawiają się wzgórza, które zawsze obiecują podróżnemu jakąś rozmaitość. Zbliżywszy się ku nim, ze zdumieniem, wprost oczom nie wierząc, znajduje on gaj topoli srebrzystych, wyglądających tu w pustyni, jak senne widziadło. Od widoku drzew odwyknąwszy zupełnie, podróżni z radością chronią się w ich cieniu, z radością czują miękką trawę pod nogami. Dwa — trzy strumienie płyną pomiędzy drzewami, znikając w pobliżu w pustyni, a tuż obok złoci się łąn pszenicy, obsadzony krzakami róży i drzewami srebrzystego oliwnika. Jest tu i mały domek, ulepiony z gliny — mieszkanie jakiegoś Chińczyka, co osiadł w tym pustkowiu zdaleka od świata. Jakże, do prawdy, wielkie podobieństwo jest pomiędzy oazą taką i wyspą, rzuconą na morze!

Wygląd pustyni ulega zmianie w miarę tego, im bardziej zbliżamy się ku jej kresom południowym i północnym; coraz częściej spotykać się dają przestrzenie trawą zarośnięte, aż wreszcie okolica przybiera charakter zupełnie stepowy; wprawdzie i tutaj jeszcze deszczu i śniegu pada bardzo mało, ale w każdym razie więcej — aniżeli w Gobi; w pobliżu gór gromadzą się chmury, których deszcze pobudzają bujną roślinność do życia.

Gdy ciepłe promienie wiosennego słońca rozpuszczą przykrycie ze śniegu na stepie, przystraja się on w niezliczone kwiaty. Szczególniej pięknością odznaczają się różne gatunki kosaćców (Iris); czasem z jednego krzaczka takiego wychodzi pięć wysokich łodyg z kwiatami jasno-błękitnymi; woda strumieni, odbijając je, sama również przybiera barwę błękitną \*). Oprócz kosaćców miliony stepowych lilji purpurowych błyszczą na równinie.

Jednocześnie z przebudzeniem się roślinności przylatuje ptactwo: na brzegach jezior gromadzą się kaczki i gęsi, w powietrzu rozlega się pieśń skowronka mongolskiego, nie gorszego śpiewaka, niż nasz skowronek, dalej kuropatwa stepowa, czapla, kulig, czajka i żóraw, ożywiają martwe do niedawna stepy; za nimi wreszcie ciągną i ptaki drapieżne, jak myszołowy, sokoły i orły. Również i podziemny świat budzi się do życia. Żół-

---

\*) Radde.



to-brunatny świstak, z króciutkim ogonkiem wychodzi ze swej nory, sadowi się na tylnich łapkach i szczekając, spogląda dokoła. Z długiego korytarza pod ziemią wysuwa się maleńki gryzoń zając górski (*Lagomys*) i śledzi z uwagą, czy nie czatuje nań jaki ptak drapieżny, chętnie napastujący takie bezbronne stworzenia. O zmroku zaś opuszcza swoją kryjówkę, podpierając się długim ogonem skoczek (*Dipus jaculus*); poszukuje on ulubionych przez siebie cebulek i w tym celu przebiega step w ogromnych podskokach. Nocą, gdy na niebie rozpalą się gwiazdy, nowy gość zjawia się na stepie: z nory wysuwa się chomik i w poszukiwaniu rozmaitych nasion biega po wzgórkach piaszczystych. Nasionami wypełnia on torebki policzkowe, a jeżeli przypadkiem napotka innego chomika, rozpoczyna z nim krwawą i zaciętą walkę.

Z nastaniem lata, step, słońcem wypalony, smutny posiada wygląd; panuje na nim straszna susza, kurzawa i pustka. Tylko na krańcach stepu, gdzie wilgoci nie brak, po dawnemu zieleni się bujna roślinność; spotykasz tu rozmaite gatunki roślin, właściwych gruntom w sół obfitującym; soczyste ich liście słone są i mają kolor czerwony. Stada antylop i kułanów przychodzą tutaj z Gobi paść się, a gdy zdala dostrzegą człowieka, zrywają się, jak wiatr, do ucieczki.

Zimą gromadzą się nad stepem chmury i huczą wiatry mroźne; wtedy wszystko, co żyje, szuka dla siebie schronienia; gryzonie stepowe skrzę-

nie ściągają do swych nor pęczki suchej trawy, zatykają starannie otwór, wiodący do nory i, zagrzebane głęboko w swoim legowisku, zapadają w długi sen zimowy.

Śniegu zresztą pada tutaj względnie bardzo mało, tak, że zwierzęta przezuwające wydobywają z pod niego uschłe łodygi roślin zeszłorocznych. Największym utrapieniem tutaj w czasie zimy są zamiecie śnieżne: wichry, wyjąc z przeraźliwym jękiem, przerzuca śnieg z miejsca na miejsce. Całe powietrze wypełnia się drobnymi kryształkami lodu, które ręce i twarz człowieka kaleczą boleśnie; słońce słabo prześwieca przez tumany śniegu, i bydło domowe, przerażone, szuka w szalonej ucieczce ratunku, — napróżno jednak, jeżeli zamieć sroży się zbyt długo. Tylko wilki, pędzące za bydłem, mają wtedy istne używanie: dla nich taka piekielna zadymka jest zapowiedzią doskonałej uczy. Po burzy następuje zwykle jasny dzień zimowy, pełen blasków słonecznych, migocących na śnieżnej powierzchni.

Cóż ma począć człowiek, rzucony w te stepy na krańcach pustyni? Znajduje on tutaj niewdzięczny grunt, niezdatny z powodu suszy pod siew i uprawę, zupełny brak lasu, upalne lato i ostre zimy z zadymkami. W tych warunkach, w tym kraju życie koczujące staje się wprost prawem przyrody, — nieubłaganym, jak prawa przyrody wogóle.

I rzeczywiście wie dzie tutaj żywot koczujący pierwotny naród pasterski — Mongołów.

## VI.

Powierzchność typowego Mongoła nie jest pociągająca. Twarz szeroka i płaska z wystającymi kośćmi policzkowymi, spłaszczony nos, wąskie małe oczy, odstające uszy, szorstkie ciemne włosy, nader rzadkie na brodzie i wąsach, cera smagła, ogorzała, nakoniec cała budowa barczysta i krzepka przy wzroście średnim lub nawet wysokim, — oto charakterystyczne cechy tych mieszkańców stepu. Na podobieństwo Chińczyków gołą oni głowy, zostawiając tylko na czubku garść włosów, które zaplatają w warkocz. Kobiety włosów zupełnie nie gołą i splatają je w dwa warkocze, które stroją w korale, wstążki i paciorki.

Wprost na gołe ciało kładzie Mongoł niebieski chałat, z chińskiej bawełnianej tkaniny uszyty, na nogi bierze chińskie obuwie z grubą podeszwą, zrobioną z wojłoku i skóry; filcowy kapelusz z podniesionym rondem dopełnia jego ubrania; chałat swój Mongoł przepasuje pasem, u którego wieszka woreczek z tytuniem, fajkę i ogniwo. W zimie ponadto odziewa się w kozuch barani. Kobiety ubierają się również w chałaty, dłuższe jednak i nie przepasane.

Namiot z wojłoku (zwany gyrem) jest domem przenośnym nomada; robią go z krat drewnianych, w koło na ziemi ustawionych; przywiązane do górnych ich brzegów pałeczki wtykają wolnymi końcami w krążek, w którym są powiercone

odpowiednie dziurki. Na to okrągłe, do kojca podobne mieszkanie, nakładają wołok, tak skrojony, aby kawałki zszywane przylegały ściśle jeden do drugiego. Krążek, w którym pośrodku znajduje się otwór, pozostaje nie zakryty; odgrywa on rolę komina, zamykanego tylko w nocy ze względu na ciepło. W namiocie urządzają jeszcze drzwi w południowej stronie i cały namiot opasują sznurami dla mocy. Teraz mieszkanie jest całkiem gotowe. Latem przez gruby wołok palące promienie słońca nie przechodzą, a dżdży-stą porą deszcze nie mogą go przemoczyć; gdy wypada przekoczować na nowe miejsce, namiot daje się z łatwością rozebrać: kraty składają razem, pałeczki wiążą w jeden pęczek i wszystko to układają na grzbiecie wielbłąda. I reszta dobytku Mongoła tak jest sporządzona, by mogła być bez trudności zabierana w drogę; wszystko bywa pakowane do skórzanych worków; gdy dzieci jest wiele w rodzinie, wsadzają je do koszyka, który na wielbłądzie wieszają; z jagniętami i koźletami postępują tak samo \*).

Namiot ma w średnicy 3 do 4 $\frac{1}{2}$  metra; w środku niego na ziemi znajduje się zagłębienie, w którym pali się argał (suchy nawóz); to ognisko jest jedynym nieruchomym dobytkiem Mongoła. Do koła ogniska rozesłane leżą wołoki do siedzenia i spania.

---

\*) Aleksandra Potanina.

Na stronie przeciwległej wejściu, na drewnianym wzniesieniu, podobnym do małej szafki ze stopniami, pomalowanym na czerwono z dodaniem rysunków niebieskich, zielonych i żółtych, ustawiają bożków; popod ścianami namiotu, czasem obwieszonemi jaskrawą tkaniną z bawełny, mieści się skarb domowy Mongoła: skrzynie okute blachą, siodła, worki skórzane z masłem i z mąką, naczynia z siadłem mlekiem i t. d.

Zimą, gdy namiot obciążnięty jest wołłokiem podwójnym i wewnątrz tli się ogień, jest w nim dosyć ciepło. Na noc otwór u góry namiotu bywa zamykany, a ogień gaszony; wtedy oddech śpiących ogrzewa powietrze w namiocie, do którego dla ciepła biorą niekiedy jeszcze kilka owiec. Okręcony w kożuch, Mongoł śpi mocno i chrapie, gdy dokoła po stepie borykają się wiatry zimowe, raz po raz wstrząsając namiotem; przy dzikich pieśniach tych nocy piekielnych Mongoł układa do snu swoje dziecię, którego później przez całe życie nie opuszcza myśl o złych, zagniewanych duchach. Ciężki za to los oczekuje w zimie rodzinę biedaka, którego cały dobytek stanowi dziurawy namiot i kilka podartych chałatów.

Przywykły do klimatu zupełnie suchego, Mongoł nie znosi wilgoci i deszczu i, rozpinając namiot, miejsce wilgotnych w stepie starannie unika. Tym po części da się niechlujność jego wytłumaczyć. W ciągu całego życia nie kapie się on ani razu, a twarz i ręce myje bardzo rzadko. Jasnym jest, że w tych warunkach ubranie jego «ożywia-

ją» różne pasożyty; podróżny też często widzi taką scenę tutaj: Mongoł, nieraz dygnitarz jakiś wybitny, lama czy urzędnik, siedząc w kole znajomych, najspokojniej odwraca kożuch albo chałat, i złapawszy dokuczliwe stworzenie, z miejsca wykonywa nad nim wyrok śmierci swemi przedniemi zębami.

Wstręt do wody posuwa się u Mongoła do takiego stopnia, że surowej wody nigdy nie bierze on do ust, a zamiast niej używa przeważnie herbaty. Nieraz herbata stanowi jego jedyny posiłek; dlatego też ogromne jej ilości wyprawiają Chiny do Mongolji. Bez herbaty ani mężczyzna ani kobieta nie może się tu obejść, i kociołek z nią wisi dzień cały nad ogniem w namiocie. Wszystko jedno, czy nieszczęście nawiedzi Mongoła, czy zdarzy się coś radosnego, czy gość w odwiedzinę przybędzie do niego, przy każdej podobnej okazji trzeba napić się herbaty. Do kociołka, który, nigdy nie myty, bywa tylko niekiedy wytarty suchym nawozem, wlewają wodę z najbliższej studni. Gdy woda na ogniu wrzeć zacznie, wrzucają do niej garść potłuczonej prasowanej herbaty, szczyptę soli i dolewają kilka kubków mleka. Oto i przyjęcie gotowe. Wypić napoju tego 10 — 15 kubków, wielkości naszej szklanki, jest rzeczą zwykłą nawet dla mongolskiej dziewczyny. Mężczyźni dorośli piją dwa razy więcej. Każdy przytym posługuje się własnym kubkiem drewnianym, który później chowa za pazuchę, wylizawszy go starannie językiem.

Ten kubek-filiżanka stanowi przedmiot szczególnych zabiegów Mongoła i u bogaczy bywa nieraz srebrny, chińskiego wyrobu. Lamowie zaś używają czasem, jako filiżanki, ludzkiej czaszki, na pół przepiłowanej, oprawionej w srebro.

Aby herbatę uczynić pożywniejszą, kładą do filiżanki pieczone proso i masło, albo kawałki sadła z owczego ogona, a na to dopiero leją ową herbatę z mlekiem; w ten sposób otrzymuje się rodzaj jakiejś polewki, dość smacznej, jeżeli masło czy sadło nie było zjełczałe.

Oprócz herbaty, mleko pod różną postacią stanowi pożywienie zwyczajne Mongołów. Komu pozwolą środki, ten zarzyna barana i wtedy już może obżarstwo swoje zaspokoić. W razie pośpiechu, Mongoł kładzie kawał baraniny na grzbiecie wielbłąda pod siodło i w ten sposób chroni mięso od zamarznięcia; gdy zechce jeść, wydobywa z pod siodła drogocenny zapas, a że mięso, oblepione sierścią, czuć wielbłądzim potem, to wcale jego wartości nie zmniejsza.

Chleba Mongołowie nie znają; zresztą w pobliżu granicy rosyjskiej nie gardzą chlebem razowym; dalej, w głąb kraju, ten rodzaj pokarmu jest im zupełnie obcy. Ptactwa i ryb również nie spożywają, czując do nich wstręt przesądny, i tak już zżyli się z tą myślą, że nie mogą patrzeć bez odrazy, gdy ktoś podobnych pokarmów używa. Przewalski opowiada, że jeden z jego przewodników dostał wymiotów na widok kaczki, którą jedli jego rosyjscy towarzysze.

Ze względu na zajęcia swoje i tryb życia, Mongoł jest typem nomada — uosobieniem życia pasterskiego.

Bujne stepy Mongolji stoją nie podzielone dotychczas na pastwiska i działki; jak powietrze, jeziora i rzeki, tak i one są dotąd własnością ogólną. Całe bogactwo tutejszego mieszkańca stanowią zwierzęta domowe: konie, owce z tłustymi ogonami, wielbłądy i krowy. Wszystko niezbędne otrzymując od nich, Mongoł niemi tylko i dla nich żyje, a reszta nic go nie obchodzi. Przy spotkaniu wszczynając rozmowę, Mongołowie przedewszystkim rozpytują o zdrowie krów, wielbłądów i koni; te kwestje o wiele bliżej ich obchodzą, niż sprawy rodzinne; nie pojmują, jak mogą istnieć ludzie tacy nieszczęśliwi, którzy nie mają stad własnych i wprost z niedowierzaniem słuchają, gdy obcy przybysz ich zapewnia, że nie posiada ani wielbłąda, ani jednej owcy. Byle tylko było pastwisko dla bydła i niezbędna dla napojenia go woda, Mongoł o nic więcej nie dba; gdy tych dwóch rzeczy nie znajduje, rozbiera swój namiot, dobytek kładzie na wielbłąda i szuka lepszego pastwiska.

Ze zwierząt domowych Mongoła najbardziej charakterystycznym jest bez zaprzeczenia wielbłąd. Jeżeli pustynie i stepy Azji Środkowej wycisnęły na zamieszkującym je człowieku swe piętno, to jeszcze bardziej stosuje się to do wielbłąda. Tylko tutaj spotkać możemy tego dwugarbnego wielbłąda (*Camelus bactrianus*), przezwa-



nego przez nomadów «tyme.» Jako zewnętrzne oznaki wysokiej wartości wielbłąda, uważają tęgą budowę, szerokie podeszwy, wreszcie duże, prosto sterczące garby, odsunięte daleko jeden od drugiego.

Bezmierny obszar stepu i pustyni jest przyrodzonym miejscem pobytu wielbłąda i jedynie tutaj czuje się on zupełnie szczęśliwym, tak samo jak pan jego i przyjaciel Mongoł. Skąpy pokarm, którego wielbłądowi dostarcza pustynia, smaczniejszym mu się wydaje od najlepszej paszy, spożywanej w ciasnych warunkach niewoli. Postawiony w zagrodzie, mimo największe starania chudnie on i zdycha; a tymczasem w ojczyźnie dają mu zdrowie i tęgość takie np. rośliny, jak drobna bylica piołun, saksauł i dzika cebula. W razie potrzeby, po ciężkiej pracy, gdy jest wygłodzony, stojąc nocą na uwięzi, potrafi zjeść i siodło, napchane słomą, rzemień albo rękawice, i to wszystko idzie mu na zdrowie, gdy tymczasem soczysta doskonała pasza, przy braku suchego powietrza i otwartej przestrzeni pustyni, nie jest w stanie utrzymać go czas dłuższy przy życiu. Sól stanowi jedyną łąkę dla wielbłąda. Chciwie zlizuje on wszelkie wykwity soli, występujące obficie na gruncie przesyconym solą, wśród trawy na stepach mongolskich. W braku podobnych wykwitów, wielbłąd je sól zwyczajną, choć już nie z takim pożytkiem; w każdym razie od czasu do czasu trzeba mu ją dawać. Przez czas dłuższy nie dostając soli, wielbłąd często bierze

do gęby dla żucia białe kamyki, które mu niby zastępują kawałki soli.

Przymioty wewnętrzne wielbłąda są słabo rozwinięte; jest to zwierzę głupie i bardzo płochliwe. Nieraz zając, gdy porwie się z pod nóg jednego wielbłąda, wywołuje popłoch w całej karawanie. Duży ciemny kamień albo kupa kości może być również przyczyną przestרחu wielbłąda. Niech spadnie siodło albo tłumok, i zaraz nasz wielbłąd, jak wściekły, rzuca się do szalonej ucieczki, pociągając resztę wielbłądów za sobą. Napastowany przez wilka, choć mógłby go zabić jednym uderzeniem nogi, nie myśli wcale o obronie, lecz tylko pluje nań i wydaje przeraźliwe głosy. Nawet kruk nie oszczędza biednego wielbłąda; ten ptak, u nas tak ostrożny i lękliwy, w Mongolji odznacza się odwagą i natarczywością. Kruki wiedzą, że tutaj nie stanie im się krzywda, Mongoł bowiem uważa za grzech zabijanie ptactwa. Kruk też niemal z rąk wrywa człowiekowi wszystko, co daje się spożyć i często siada na grzbiecie wielbłąda, aby szarpać jego rany, powstałe od siodła, a nieszczęsne zwierzę i teraz również broni się tylko pluciem i krzykiem.

Wielbłąd rodzi tylko jedno małe; jest to stworzenie zupełnie niezaradne i słabe, a do ssania trzeba je przysadzać do matki; po pewnym czasie zaczyna ono chodzić i wszędzie podąża za matką, która otacza je wielką miłością i, rozłączając się z nim, tęskni i jęczy żałośnie.

Nowonarodzony wielbłąd niedługo korzysta z wolności; już po kilku miesiącach bywa oddzielany od matki, a w drugim roku życia musi poddać się operacji przedziurawienia nosa: w ten otwór wkładają niewielką paleczkę, do której później przywiązują sznurek. Następnie uczą takiego młodego wielbłąda kłaść się na komendę, i w tym celu targają za sznurek, powtarzając «sok, sok!» Dwuletniego wielbłąda biorą już z karawaną, aby go przyzwyczaić do ciężkich i długich wypraw; gdy miną mu trzy lata, bywa używany pod wierzch, a w rok później może już i ciężary na grzbiecie przenosić.

Jako zwierzę juczne pełnić może wielbłąd swą służbę w ciągu lat 30 i więcej, choć często wystawiony bywa na głód i pragnienie. Bez pożywienia pozostawiają go nieraz po 8 dni i więcej; nie pojony wędruje czasem trzy doby i dłużej. Niosąc na sobie ciężar do 12 pudów, przechodzi 40 wiorst dziennie i tak dzień za dniem w ciągu całego miesiąca. Wypocząwszy później koło dni dziesięciu, znów zdatny jest do odbycia podobnej podróży.

W takiej pracy przechodzi wielbłądowi cała zima; ku końcowi jej jest on strasznie wychudzony, wiosną zaś, dla poprawy, bywa puszcany na stepy. Dążąc z karawaną, wielbłąd nie odłącza się nigdy od reszty wielbłądów i postępuje za nimi dopóki sił starczy; jeżeli ustanie i położy się na ziemi, to żadne bicie nic tu nie pomoże; nic nie jest wtedy w stanie podnieść go na

nogi i zwykle takiego wielbłąda pozostawiają na drodze własnemu losowi. Opuszczony, smętnym wzrokiem żegna odchodzącą karawanę i bez rątku ginie w pustyni. W pobliżu dróg przez Gobi można bardzo często widzieć wyschnięte trupy i szkielety tych niezmordowanych pracowników pustyni.

Bardzo umiejętnie obchodzi się Mongoł z wielbłądem, tak, że dozorowane przez niego zwierzęta wyglądają silnie i zdrowo, gdy tymczasem w innych rękach marnują się szybko. Środki jednak, stosowane w Mongolji do wielbłądów, bywają czasem bardzo «barbarzyńskie.» Gdy np. na kamykach w Gobi wielbłąd przetrze sobie podeszwę i zacznie utykać, a w końcu zupełnie utraci możliwość stapania, wtedy krępują mu nogi, przewracają na ziemię i do przetartej podeszwy przyszywają kawał grubej skóry. Oczywiście operacja taka jest bardzo bolesna, tym bardziej, że przy dokonywaniu jej posługują się wprost grubym szydłem, którym w podeszwie wielbłąda przebijają dziurki.

Sposób jest jednak skuteczny, bo taki «podszyty» wielbłąd wkrótce przestaje utykać i znowu zdatny jest do pracy \*).

Pielęgnowanie bydła stanowi cały kłopot, jedyne zajęcie Mongoła; zresztą robi on to bez wielkiego wysiłku. Nie dogłądane przez nikogo, pasą się wielbłądy i konie na stepie i latem tylko

---

\*) Przewalski

raz na dobę bywają pojone u studni. Pieczę nad owcami i krowami mają kobiety. Mongoł bogaty, t. j. posiadający tysiące sztuk bydła, najmuje pastucha z pośród swej biednej i bezdomnej braci. Wszystkie kłopoty gospodarskie, jak dojenie bydła, przechowywanie mleka, wyrób masła i t. d. należą do kobiet. Mężczyzna zwykle nie zajmuje się niczym: pije od rana do wieczora herbatę lub też, dosiadszy konia, jak wiatr po stepie pędzi do sąsiada, aby podzielić się z nim nowinami; a także wypić z nim herbaty i kumysu.

Gdy syn Mongoła dorasta, rodzice upatrują dla niego przyszłą małżonkę, ale i młodzieńca pytają o zgodę. Dawniej istniał u Mongołów zwyczaj zaręczania dzieci w młodym bardzo wieku, i zwyczaj ten nie wszędzie jeszcze został zarzucony. Synowie żonaci zwykle opuszczają rodziców i w oddzielnym namiocie żyją swoim dworem.

Nieboszczyków Mongołowie w ziemi nie grzebią, lecz wywożą ich i zdala od mieszkania zostawiają na pożarcie ptakom i dzikim zwierzętom. Gdy podróżny w pobliżu Urgi spotyka ludzkie trupy, które rok rocznie są setkami pożerane przez psy i kruki, nie może bez oburzenia spoglądać na to; tymczasem Mongoł bez wzruszenia odprowadza na ten wieczny spoczynek swoich najbliższych i najdroższych. Ludzi, szczególnie zasłużonych, palą po śmierci, popioły ich mieszają z gliną i taki zlepek kładą w namiocie obok bożków.

Z natury już silnie zbudowani, a od dziecka do wszelkich niewygód przywykli, mają Mongołowie zdrowie prawdziwie żelazne. Cały miesiąc, podczas najsroźszej zimy, wędruje Mongoł przez Gobi, prowadząc z Chin do Kjachty karawanę wielbłądów z herbatą; tygodniami panują mrozy 30<sup>o</sup> stopniowe, przy ciągłym wietrze północno-zachodnim, który ogromnie wzmaga ostrość zimy, i mimo wszystko, Mongoł nie schodzi z wielbłąda po 15 godzin, choć musi ciągle pod wiatr się posuwać. Gdy mróz zbyt już mu dokuczy, wiorstę lub dwie idzie pieszo, aby rozgrzać przeziębione członki. Trzeba być człowiekiem doprawdy żelaznym, aby dokonać choć jednej podobnej wyprawy; Mongoł zaś w ciągu zimy czterokrotnie odbywa tę drogę, co w sumie wynosi do 5 tysięcy wiorst.

Gdy jednak napotyka trudności innego rodzaju, które są mu obce, do których nie przywykł, to choćby były one i względnie nieznaczne, przewyciężyć ich nie jest w możności. Oto np. ten człowiek, z takim twardym zdrowiem, nie zdoła przejść pieszo 20—30 wiorst; jeden nocleg na wilgotnej ziemi nabawia go zaziębienia, jakby jakiego panka wydelikaczonego. Niech będzie przez 2—3 dni pozbawiony prasowanej herbaty, już skarżyć się zacznie z boleścią na swój los dotkliwy. Tak jest, Mongoł te tylko znosi przeciwności, do których przywykł; trudności zaś nowe, nieznanne, zabijają w nim energję; nie próbując też ich przewyciężyć, usiłuje je raczej ominąć.

Jest to jedna z głównych cech w konserwatywnym charakterze tego człowieka Wschodu, pozbawionego zupełnie samodzielności i przedsiębiorczości.

Język mongolski zbliżony jest bardzo do języka ludności Turanu, i w każdym razie w obydwóch tych językach znajdujemy dużo pierwiastku wspólnego. Rozróżnić w nim należy wiele odrębnych narzeczy; przytym posiada on znaczną domieszkę mandżurskiego, chińskiego i tybetańskiego. Święte księgi Mongołów pisane są językiem tybetańskim, lub, jak go tu nazywają, tanguckim. Duchowni, t. j. lamowie, pragnący choć cokolwiek wiedzieć o swojej religji, zmuszeni są do uczenia się narzecza tybetańskiego. Zresztą nieznamość języka nie zmniejsza bynajmniej kultu dla ksiąg, językiem tym pisanych; i owszem, nieświadomość tego, co w nich się zawiera, otacza je jakimś magicznym urokiem, podnosi ich cenność; często też bogaci lamowie nie żałują tyśięcy na kupno egzemplarza znanej księgi Kandzur, która obejmuje całą mądrość buddyjską, nie wyłączając historii, astronomji i matematyki. Tybet w oczach Mongołów jest ziemią świętą, Dalaj-Lama — wyższym ponad wszystkich lamów, jakkolwiek i Mongolja posiada własnego lamę, który mieszka w Urdze, a którego uważają za «wcielenie Buddy.»

Mongołowie obawiają się bardzo złych duchów i wierzą w istnienie znacznej ich liczby; nigdy nie odzywają się o nich z lekceważeniem i wszel-

kie doznane nieszczęścia na ich karb składają. Tylko w zakłęczach lamów można znaleźć jakąś przeciw nim obronę. Znajdujący się w namiotach Mongołów bożkowie, identyczni z bożkami Tybetu, stanowią wierną kopję bałwanów indyjskich; oprócz tego posiadają Mongołowie i własnych bożków narodowych, w rodzaju Jaman-dagi, mającego postać koźlej głowy, ubranej czaszkami ludzkimi. Czasem ci bożkowie miejscowi są to zwyczajne lalki drewniane, ubrane w łachmany.

W domach modlitwy i klasztorach, w wielkiej liczbie po Mongolji rozrzuconych, trzy razy dziennie są odprawiane modlitwy: rano, w południe i wieczór. Zresztą niektóre domy modlitwy stoją opuszczone zupełnie i bożków w nich pokrywa gruba warstwa pyłu. Odmawianie modlitwy odbywa się w języku tybetańskim, którego często lamowie sami nie pojmują. Gdy pora modlitwy nadchodzi, lama zwołuje ludność, trąbiąc w długą muszlę morską, później siada na podłodze i zaczyna głosem śpiewnym odczytywać księgę. Od czasu do czasu przerywają modlitwę dzikie okrzyki, a także dźwięki bębnów i talerzy mosiężnych. Ciągnie się to godzinami całemi!

Wszystko, co Mongoł najlepszego posiada, chętnie oddaje swym lamom, a najwymowniejszym świadkiem dobroczynności jego są bogate klasztory i domy modlitwy, wszędzie w kraju spotykane. Gdy lamowie wybierają się w drogę, aby w imię «starego Buddy» zbierać dziesięcinę, pewni mogą być zawsze jaknajbardziej życzliwe-



go przyjęcia. Sakwy ich szybko wypełniają się srebrem i do klasztoru wracają otoczeni już całą karawaną.

Lamowie są istotnymi gospodarzami kraju i bez pracy wszelkich używają dostatków. Dlatego też liczba ich w Mongolji jest niezmierna. Stanowią oni trzecią część ludności, tak, że w każdej bodaj mongolskiej rodzinie znajdziesz choć jednego lamę. Otrzymać tę godność nie jest rzeczą trudną: rodzice już w dzieciństwie przeznaczają syna do stanu duchownego, golą mu przytym całą głowę, wdziewają na niego czerwone lub żółte ubranie, poczym prowadzą chłopca do świątyni, gdzie od starych lamów otrzymuje on ziarna buddyjskiej mądrości.

Rząd chiński chętnie popiera ten porządek rzeczy, ponieważ dogodniej jest dla niego mieć do czynienia ze spokojnymi lamami, niżeli z wrogo usposobioną świecką ludnością Mongolji. W rzeczywistości, kasta lamów jest strasznym nieszczęściem dla kraju: stanowiąc trzecią część jego męskiej ludności, wiedzie pasożytniczy żywot kosztem reszty ludu, a ponieważ posiada nań wpływ nieograniczony, nie pozwala mu dźwignąć się z upadku, w którym ten lud znajduje się obecnie.







5

786

CZYTANIA GIEOG

<i>Antoszka.</i> Czechy i naród czeski.	
<i>Bouffall S.</i> Wulkany, podług nie ziemi, podług Dr. Meuniera (z 5 rys.)	— 15
<i>Korzeński J.</i> Obce ludy, obce kraje. Ciekawe opisy podróżników, podług czeskiego, oprac. Antoszka, z 69-ma rysunkami, w opr.	1 —
<i>Lauterer.</i> Japonja i Japończycy	— 25
<i>Niecznik A.</i> O Serbji i Serbach — Macedonja i Macedończycy	— 20 — 20
<i>Natkowski W.</i> Geografja malownicza. Część I. Au- stralja (z Polinezja). Opisy zebrane z wrażeń po- dróżników, z licznemi rycinami, kop. 75, w opr.—	90
<i>Poptawski J.</i> Ciekawe opisy z życia ludów. Z 12 tablicami kolor. i czarnemi rysunkami, w opr.	1 60
<i>Schneider O.</i> Atlas przyrodniczo-geograficzny. Ty- py krajobrazów, ludzi, zwierząt i roślin, opracował A. Słóarski, 18 podwójnych tablic z 600 wizerunka- mi, 15 mapek i 1 podwójna mapa poglądowa. Wy- danie II, rub. 2 25, w opr.	3 —

ODZNACZONA DYPLOMEM HONOROWYM  
**KSIĘGA WIADOMOŚCI POŻYTECZNYCH**

z dziedziny następujących nauk stosowanych,  
 ułożonych w porządku encyklopedycznym:

AERONAUTYKA—ANATOMJA—ARCHITEKTURA—ASTRONOMJA—BOTANIKA—  
 CHEMJA—ELEKTROTECHNIKA—FIZYKA—FIZJOLOGJA—GIEOGRAFJA FIZYCZ-  
 NA—GIEOLOGJA—HYGIENA—KOSMOGRAFJA—MATEMATYKA—MECHANIKA—  
 MEDYCYNĄ—METEOROLOGJA—MINERALOGJA—OGRODNICTWO—PRZEMYSŁ—  
 ROLNICTWO—SPORT—SZTUKA—TECHNOLOGJA—ZOOLOGJA—ŻEGLARSTWO

Artykuły objaśnione 2,500 rysunkami na 1,100 stronach tekstu.

Cena bez oprawy rb. 6; w oprawie w płótno angielskie rb. 6 kop. 75;  
 w oprawie w półskorek rb. 7; przesyłka 50 kop.

PROSPEKT NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE.